Lwów, 20. Lipca   Nr 86.   Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr. — półroczna 3 Zlr. — kwartalna 1 Zlr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Zlr.— półrocznie 4 Zlr.—kwartalnie 2 Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się zaopłatą od wiersza pismem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ.po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr.stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni H. W. Kallenbacha.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

Otóż takie i tym podobne dysputy trwały wciąż pomiędzy tymi obudwoma młodzieńcami, pełnymi znakomitych zdolności i pełnymi najpiękniejszych widoków na przyszłość. Stosunek wzajemny do siebie dobrze oni rozumieli obadwa. Jakoż prawdę Kamil powiedział, opowiadając państwu Sieniawskim: że oni obadwa stoją na punktach tak zupełnie sobie przeciwnych. — W tem się tylko omylił, iż utrzymywał, że ich różnią zasady. To bowiem, co ich różniło, nie było jeszcze ani tu ani tam wyrobione do potęgi zasady, i były to tylko mgliste jeszcze i niewyraźne dusz młodzieńczych marzenia, które się zatrzymały u każdego w pół drogi i różniły się tylko swojemi przyborami i barwą. Gdyby je było doprowadzić do końca, czyli mówiąc wyraźnie, do ostatnich ich rezultatów, oczyścić z nagromadzonych po drodze przyborów i wyłonić z nich ich wzajemną treść i dążność główną, to było-by się pokazało dowodnie, że obudwoma włada myśl jedna i ta sama, i że ich duchy w jak najzupełniejszej są zgodzie.

To też ta zgoda, która w nich była pomimo ich wiedzy, pociągała za sobą ten skutek, iż czując się niby na przeciwnych sobie punktach i sprzeczając się bez ustanku ze sobą, czuli zarazem i wzajemny pociąg do siebie i nie mogli się pogniewać na prawdę i rozejść na zawsze, albo nawet na długo. Po najzaciętszych walkach ze sobą, które nieraz zaledwie zdołały się utrzymać w przyzwoitych granicach, chociaż odskoczyli od siebie jak ogień od wody, i przysięgli nawet, że się porzucają na zawsze, przecież już nazajutrz się odszukali, ażeby spór wczorajszy nowemi przedłużać siłami. I tak było ciągle i zawsze.

Wszakże pomimo tak ognistego zajmowania się utworami swojej niespracowanej fantazyi, które nieraz najpotworniejsze przybierały postacie, nie zaniedbywali oni oddawać się przeznaczonej dla siebie pracy i dopełniać obowiązków tych, dla których wypełniania zapisali się na wszechnicę. Jednakże i pod względem prac umysłowych zachodziła pomiędzy nimi obudwoma nieobojętna różnica. Bo kiedy Edmund prócz szkolnych przedmiotów oddawał się głównie zgłębianiu narodowej historyi, Kamil daleko pilniej uprawiał filozofią. Kiedy tamten studyował biblią starego i nowego zakonu, ten się wczytywał w powietrzne mrzonki marzycielów niemieckich i wertował socyalistowskie utopie Francuzów. A czem znowu u tamtego były średniowieczne rycerskie romanse i pierwsze kwiaty nowej narodowej poezyi, to miejsce u tego zajmowały pisma o życiu i obyczajach pogańskich Słowian, pieśni i obrządki ludowe. Wprawdzie te zajęcia umysłowe obudwóch nie były rzeczywistą, systematyczną nauką, opartą na pewnej podstawie i prowadzącą do jakiegoś pewnego naprzód oznaczonego celu, bo tak jeden jak drugi ślizgał się tylko po swoich przedmiotów powierzchni i wybierał z nich tylko to, co podług jego przeczucia było pięknem i wielkiem, co szczelnie przypadało do jego dotychczasowych wyobrażeń i co dźwięcznemi tony wtórowało chórowi jego wciąż grających zapałów lub odpowiadało spoczywającym w jego duszy obrazom. Pomimo to wszakże rozszerzały się ze szczególniejszą szybkością widokręgi ich umysłów, bogaciły się skarbnice ich pojęć i olbrzymiemi krokami wzrastały ich wszelkie władze duchowe.

Ten bezustanny postęp ich wykształcenia, opierający się na rzeczywistych zdolnościach, nie uchodził oka ich towarzyszów, dzielących z nimi nauki wszechnicy. Uwaga publiczna zwracała się na nich obudwóch coraz więcej, a podczas kiedy profesorowie niezaniedbywali ich nigdy sami nad innych wywyższać i całemu kolegium wskazywać za przykład, koledzy poczęli ich uważać rzeczywiście za coś lepszego i wyższego od siebie a odnosząc się z każdą wątpliwością, powstającą czy to z jakiejś kwestyi zawiłej, czy z jakiej kłótni akademickiej, zawsze tylko do nich obudwóch, nie okrzyczeli ich głośno, ale uznali ich stanowczo pierwszemi i najjenialszemi głowami w swej szkole. Ta sława ich nawet, tak prędko i niechcący nabyta, nie ograniczała się na samych ich towarzyszach. Wkrótce bowiem rozniosła się ona po całej wszechnicy i przez młodzież akademicką wyleciała na miasto, i tak się tam rozszerzyła, że nie było ojca, mającego syna na studyach, który-by o dwóch jenialnych młodzieńcach nie wiedział, nie było matki, mającej dorastające córki, która-by się o nich niedopytywała ciekawie, a znachodzili się i tacy, którzy umyślnie dla tego nawiedzali dom starych Sieniawskich, winszowali im z serca, że pod ich okiem wychowuje się tak jenialny młodzieniec i zaglądali ciekawie w okna na-

przeciw stojącego pałacu, ażali choć przez szyby nie ujrzą tego, który z nim dzieli sławę tak rozgłośną i piękną.

Tak więc już na samym wstępie w świat życia zakosztowali i oni tej niebespiecznej trucizny, która kiedy się dotknie ust niepoświęconych ku temu, zatruwa spokój i szczęście tego żywota, wypala serca, wyżera mózgi i zaprowadza pod płoty wiekuistego głodu i nędzy, albo pomiędzy ściany domu, napełnionego powykrzywianemi twarzami warjatów.

I trucizna ta niebespieczna, zaledwie przez nich zakosztowana, zaczęła zaraz wywierać swoje szkodliwe skutki na nich obydwóch. A skutki te były o tyle jeszcze szkodliwsze, ile że padały na serca rzeczywiście gorące i do niepospolitych wyskoków zdolne, i zajmowały sobą głowy przepełnione kłębami egzaltacyi i błąkające się w samych ostatecznościach. Sława też ta, która nie mogła ominąć ich uszu, zajęła ich w istocie daleko więcej, niżeli się godziło i niżeli było potrzeba. Spędzali oni bowiem całe godziny nie mówiąc o niczem innem ze sobą, jak tylko o swojej nad kolegami wyższości, a tychże kolegów nieuctwie i hebesowstwie, i to nietylko rabowało im czas niepotrzebnie, odciągało od pracy i przyzwyczajało jeszcze bardziej do rozmawiania o bańkach mydlanych, ale podsycało ich próżność, wbijało w nich niepotrzebną zarozumiałość i dumę, która może jeszcze gorszą jest niż żądza sławy trucizną. Prócz tego jeszcze to przedwczesne zbieranie owoców z niepoczynionych przez siebie zasiewów podniecało jeszcze więcej ich bądź wrodzone, bądź przysposobione skłonności do marzycielstwa, a przypominając im słodycz skosztowanego napoju, wyradzało w nich coraz ognistsze pragnienie tego nektaru i nasuwało najpotworniejsze myśli i zachcenia. To wszystko brało na najnieznośniejsze próby ich niewielką cierpliwość i tak podpalało nieraz ich głowy i serca, że rzucali precz martwe książki od siebie i przepędzając długie nocne godziny to na zwyczajnych sporach pomiędzy sobą, to na szalonych miotaniach się po światach wymarzonych przez siebie, byliby oddali pół życia za to, gdyby mogli byli zrobić coś tak wielkiego i nadzwyczajnego, żeby ich sława rozniosła się po całym świecie od końca do końca.

Po tak przepędzonych nocach, spaleni ogniami żądz niespożytych i wytrawieni walkami wewnętrznemi ze sobą, wyglądali oni jak z krzyża zdjęci. Bledzi jak widma po księżycu błądzące, z włosami rozrzuconemi w bezładzie, z sukniami w fantastycznym nieporządku, przechodzili oni przez ulice i wchodzili na salę odczytów, — a ktokolwiek ich bliżej oglądnął, udzielał swoich uwag drugiemu, mówiąc: — Biedni! pewnie całą noc przesiedzieli nad książką! I dawano im sławę coraz głośniejszą i podnoszono coraz wyżej ich widoki na przyszłość.

Wszakże prócz tych, znachodził każdy z nich jeszcze i inne do nauk przeszkody. I tak najpierwej Edmunda naukom nie sprzyjało wcale jego położenie osobiste a właściwiej jeszcze, temu położeniu towarzyszące okoliczności. Młodzieniec bowiem, — postawiony na stopie panicza, zaznajomiony ze swemi rówiennikami pod względem majątku i urodzenia, którzy po największej części prowadzą życie bezczynne i oddane li samej zabawie, obsypany wygodami takiemi, które raczej do zbytków niżeli do potrzeb policzyćby wypadało, a nakoniec tak zawczasu już wprowadzony w towarzystwo wielkiego świata, — musi nadzwyczajnie silną mieć wolę i umieć dzielnie panować nad sobą, ażeby nie zapomniał porządku i wagi swych obowiązków i przedewszystkiem wypełniał te, dla których go posłano do miasta. A w takiem właśnie położeniu znajdował się Edmund. Oganiał się wprawdzie jak mógł tym wszystkim pokusom, trzymał się zdala od niebespiecznej dla niego młodzieży, ile możności jak najmniej pokazywał się w towarzystwach i utracony czas we dnie zawsze wynagradzał przypilnowaniem się w nocy. — Ale widać było po nim, ile go to panowanie nad sobą kosztuje i jak ponętnie go wabią do siebie owe wszystkie marności świata, które przy nader znikomej lub zgoła żadnej wartości wewnętrznej, tak przecież błyszczą i tak olśniają młodzieńczego oka źrenicę.

Jakoż potrzeba przyznać, że daleko większą nad sobą władzę miał jego przyjaciel. Nie postawiony z bogatymi paniczami na równi, nie wprowadzony w zabijające próżnościami czas drogi i tak do siebie nęcące salony, i zaopatrzony tylko tem wszystkiem, czego ścisła wymagała potrzeba, nie zdybywał on wprawdzie tych pokus, ani mógł uczuwać w sobie tych chętek, jakie nieraz miotały umysłem i sercem Edmunda. — Ale temu nawinęła się za to inna i to daleko niebespieczniejsza pokusa.

A tą pokusą stała się pomimo swej wiedzy i woli najniewinniejsza pod słońcem starych Sieniawskich córeczka.

Na dziewczynce tej bowiem, jak to już mogliśmy dostrzedz powyżej, lubo także pomimo swej woli i wiedzy, jednak dziwnie głębokie wrażenie zrobił Kamil od razu. Ze studentami była ona oswojona od dziecka i znała ich niezliczone mnóstwo i wesołych i smutnych, wysmukłych i tłustych, i dowcipnych i głupkowatych, i umiała ona ich bardzo dobrze rozróżniać i sądzić, i powiadała sobie nieraz cichutko: z tego kiedyś coś będzie, ów zostanie osłem na wieki wieków a tamten niechaj dziękuje Bogu, jeżeli kiedyś postąpi na muła. Niektórych z nich nawet zatrudniała się losem, wypytywała się o nich, cieszyła ich powodzeniem, martwiła ich nieszczęściami. Ale Kamil wcale nie studenckim do niej przemówił głosem i zaraz pierwszego wieczora stanął tak gdzieś nad nią wysoko, że nietylko nieśmiała w milczeniu go sobie osądzić, ale zdało jej się, że jest nawet niegodną poznać z bliska jego przymioty i tak się zbliżyć do niego, ażeby mogła sercem dzielić jego dobre albo przeciwne losy. W nim nie mogła ona dojrzeć żadnych szczegółów, żadnych części składowych jego

umysłu i serca, bo przedstawił on się jej jako jakaś całość nierozerwana, ogromna, jako duch wszechmogący w postaci promienistego anioła, który swem skrzydłem białem dotknął lekko jej skroni i na wieki ją przykuł do brzegu swej szaty srebrzystej.

Dziwnie też upojona była jej dusza owego wieczora, kiedy Kamil jej rodzicom opowiadał swe dzieje. Ze stanu swego natenczas nie umiała ona sobie zdać sprawy. Wiedziała tylko, że ją opuściła przytomność, że lęk jakiś opanował jej serce i że w jej uszach brzmiały jakieś cudownie dźwięczne i nigdy jeszcze dotąd niesłyszane wyrazy. To wszystko napełniło jej duszę ową nieodgadnioną trwogą, która nie jest posłanniczką przewidzianego naprzód a nieodwróconego nieszczęścia, ale jest owocem rozdrażnionych nerwów, albo towarzyszką jakiegoś ciemnego i równie nieodgadnionego przeczucia. Wszakże na ten pierwszy paroxyzm znalazła ona jeszcze lekarstwo. Oto uklękła w pokorze z dziecięcą, aniołów godną ufnością przed obrazem Chrystusa Pana. I Pan ulitował się nad nią, rozpędził myśli zatrważające jej duszę, uspokoił drżenie jej serca i silny sen spuścił na jej zmęczone powieki.

We śnie widziała ona ciągle tego Mistrza świętego z cierniową na głowie koroną, który stał nad nią z palmową gałąską w prawicy i z ojcowskiem spojrzeniem w niebieskiem oku, ale twarz jego nie była twarzą z obrazu, tylko żywą twarzą Kamila. Postać ta jednak nie obudzała żadnej trwogi w jej duszy i nie mąciła jej sennego spokoju. Przeciwnie nawet rozlewała ona jakąś wonną jasność około jej głowy, nieopisaną słodyczą napawała jej serce i tak wdzięcznemi tonami nieznanej dotąd harmonii kołysała jej duszę, że zdawało jej się być w jakichś sferach niebieskich, niesioną na skrzydłach aniołów, w krainę wiekuistego szczęścia, niepojętego przez najszczęśliwszych ludzi na ziemi.

I ten sen ją rzeczywiście pokrzepił. Ze wschodem słońca wstała ona rzeźwa i zdrowa, usposobiona dobrze do zwyczajnych zatrudnień, i tylko mała chmurka odrysowała się na jej bielutkiem czole, której wszakże nikt nie mógł dostrzedz, bo ona sama nic o niej nie wiedziała. Ale niestety! ta swoboda jej duszy nie trwała długo. Zaledwie bowiem spotkała się z owemi tak wymownemi oczyma Kamila, w które przez całą noc jakby w tęczę patrzała, zaraz wczorajsza trwoga opanowała jej serce, jakieś dziwne roztargnienie odbierało jej zwyczajną przytomność i zgoła stan wczorajszy prawie w zupełności powrócił. Był to drugi paroxyzm, może nie tak gwałtowny jak pierwszy, ale tem gorszy od niego, bo przekonywał, że nie jest wyjątkowym przypadkiem ale początkowem ogniwem kto wie jak długiej i jak niebespiecznej choroby.

Odtąd biedna Hania, chociaż sama nie wiedziała dokładnie, co to się z nią stało, zaczęła się jednak oswajać ze swoją wewnętrzną przemianą. Wzdychała tylko nad sobą, modliła się coraz goręcej do swojego obrazu i myśliła wiele, chociaż nic nie mogła wymyślić. Za tą zmianą jedną poszły niebawem i inne, jakoż wkrótce stała się ona prawie niepodobną do siebie. Dawny jej humorek przedziwny, ożywiający dom cały i napełniający wesołością wszystkie zakątki ogródka, znikł całkiem, dawną jej skrzętność i pracowitość zastąpiło jakieś ociężałe lenistwo, z dawniejszej jej ciekawości nie zostało ni śladu a jej miejsce zajęła jakaś dziwnie lodowata obojętność na wszystko. Na Kamila patrzała tylko zdaleka i z jakąś szczególniejszą bojaźnią, do jego pokoiku nie zaglądnęła nigdy, nawet popod drzwi jego przechodziła z odwróconemi od nich oczyma, ażeby się z jego wzrokiem nie spotkać. — A te czasy, kiedy to Hania chichotka pierwszą była opiekunką stojących u jej rodziców studentów, kiedy sama codziennie im przyrządzała śniadania i podwieczorki, kiedy ich budziła i wyprawiała do szkoły co rano a opowiadała im bajki lub z surową miną profesora wysłuchiwała ich lekcyi co wieczór, kiedy z nimi i ich przyjaciołmi dzieliła gry i zabawy, malowała im kredką ośle uszy na plecach, lub wycięte z papieru przypinała im szpilką, kiedy im rożne rozdawała przydomki, grywała z niemi w zielone i ubrawszy się w prześcieradło, udawała duszę pokutującą pod ich oknami, — te czasy, tak niegdyś wesołe i słodkie, zaledwie się śmiały przypominać jej przytłumionej pamięci.

Przeciwnie zaś ona nie zrobiła na Kamilu żadnego wrażenia. Takich młodych niewinnych dziewcząteк znał on już niemało w swem życiu. I podobała mu się ich dziecinna naiwność, wtórował sercem ich zamiłowaniom w pięknych wierszach i kwiatkach, chwalił nawet ich piękność lub świeżość, jeżeli go kto na nią uważnym uczynił. Ale widząc ich główki po dziecinnemu próżniutkie, a w tych główkach nader ograniczone rozumki, nie zwracał nigdy na te piękne stworzenia swej baczniejszej uwagi i stawił je sobie na równi z pięknemi kwiatkami, na które patrzeć, albo ze śpiewającemi ptaszkami, których słuchać jest bardzo przyjemnie, byle tylko nie patrzeć i nie słuchać za długo. Tak oceniwszy sobie i Hanię, nie widział on żadnej potrzeby przypatrywać jej się uważniej niż komu innemu, albo rozmawiać z nią częściej i dłużej. — A chociaż ona oczka swoje niebieskie obracała nieraz za nim jak gdyby za słońcem i zdybawszy się z jego wzrokiem, lub zapytana o coś przez niego, nagle oddech traciła i bladła, to on tego zupełnie nie dostrzegał. A choćby nawet był dostrzegł, to nie rozumiejąc tych rzeczy sercem, byłby je zapewne nie zrozumiał i głową. (D. c. n.)

Osiel z dzwonkiem.

Był osieł u gospodarza:
I tak się dobrze sprawiał (co się rzadko zdarza),
Że się go nie mógł dosyć chłop nachwalić,

I by w lesie nie przepadł od jakiej bestyi,
I łatwo, go mógł ocalić.
Przyczepił dzwonka do szyi.
Nadął się zaraz osieł, i nabrał hardości,
(Widać, że o orderach ktoś rzekł jegomości,)
Pomyślał więc: »dziś jestem jakby magnat jaki,
Ale ta nowa godność dała mu się w znaki,
(Co wielu osłom nauką być może.)
Bo trzeba wiedzieć, to stworzenie Boże,
Nie bardzo z zalet swoich się chlubiło,
Ale bez dzwonka, wszystko jakoś lepiej było.
Czy to zaszedł do żyta, w owies, czy do sadu,
Mógł się napaść po szyję i zemknąć cichaczem;
Odtąd zaś szło mu wszystko jakoś nie do ładu,
A czasem i z płaczem.
Gdzie się tylko wysunie nowy pan dobrodziej,
Wisząc dzwonek u szyi woła: oto złodziej!
Patrzy... aż tu gospodarz wziąwszy się do kija,
Pędzi z żyta, z kapusty, a pan osieł w nogi:
A sąsiad posłyszawszy że się w owsie zwija,
Porządne dał mu batogi.
A tak osioł wyniesion do pańskiej godności,
Tak zchudł, że skóra tylko została i kości.

I z ludźmi taż sama bieda,
Póki ranga jeszcze mała,
Nie okazała:
Gap jako tako się wyda.
Lecz ważny znak na gapiu dzwonek oczywisty.
Dźwięk od niego daleki, głośny i sprężysty.

Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie.

(Ciąg dalszy).

Upał coraz bardziej się zwiększał. Oblani potem posuwaliśmy się powoli. Koń nasz zmęczony ciężko oddychał. Od wsi do wsi na przestrzeni 26 lub 30 wiorst, żadnej karczmy, a co większa, ani śladu studni lub krynicy. Zapas wody jakiśmy mieli w tykwie, zupełnie został wyczerpany. Pragnienie każdego paliło. Wielka była nasza radość, gdy w jednej chwili pośród szmaragdowego stepu, przed nami może na półtory wiorsty, ukazała się jasna, błękitna powierzchnia jeziorka czy stawu, z drzącą i niby od wiatru wzruszoną falą. Podwoiliśmy kroku, każdy przejęty myślą ochłodzenia się i wykąpania podczas południowej spieki, w tych orzeźwiających kryształach. Przypomniały nam się owe marsze francuskiej armii po Egipcie, równie spragnionej i marzącej jak my wtedy o wodzie. Ale szczęśliwsi byliśmy od niej, bośmy widzieli rzeczywistą wodę przed sobą. Jakżeśmy tryumfowali nad nią. Jeszcze wiorstę, a na nowo wstąpi w nas siła, której nam już brakło. Lecz zwolna ta radość poczęła ustępować miejsca zwątpieniu i jakiejś ironicznej myśli o próżności i znikomości wszystkiego, co prawie już w naszym mamy ręku. Owe czarowne jeziorko czy staw, z błękitną falującą powierzchnią niesprawdzało się, choć już więcej przeszliśmy, niż potrzeba było, podług naszego przypuszczenia, i jak na szyderstwo jeszcze w dalszej ukazało sie przed nami odległości. I znowu byliśmy pewni, że prawdziwą widzimy przed sobą wodę. A choć i ten *mirage* przed nami znikał i za każdą razą dalej błękitniał, długo nie chcieliśmy się rozstać z wiarą w rzeczywistość, aż podoficer weteran, nasz strażnik, upewnił nas, że w tych miejscach żadnej naokoło nie ma wody.

Zjawiska podobne często w różnych zdarzają się postaciach, tak tu, jako też na linii kaukazkiej. Jednego razu poza Terekiem, jak mi opowiadano, widziano jadącą pyszną karetę w sześć koni zaprzężoną; stangret, foryś i lokaj z tyłu siedzący, wszyscy ubrani w bogatej liberyi. Z karety widać było kilka dam z dziećmi. Przejeżdżała ona po miejscach, gdzie wcale żadnej nie było dróżki, w stronie niebezpiecznej, gdzie jedynie z silnym konwojem spuszczają się podróżni. Zdziwiło więc to mocno wszystkich. Posłano natychmiast konną eskortę dla pięknych podróżnych, a razem polecono dowiedzieć się, przez który punkt kordon przejechały, aby aresztować oficera, który ich przepuścił. Lecz wkrótce wrócił posłany konwój z niczem, gdyż kareta w oczach wszystkich rozpłynęła się w powietrzu.

Niedługo kraj zaczął się urozmaicać; to tu, to owdzie przesuwało się piękne pasmo wzgórków, mile wpadających w oko, znużone ciągłą jednostajnością równi, jakieśmy od Dniepru począwszy wiecznie mieli naokoło. Czasami wiła się piękna rzeczka rozległemi zielonemi łąki, po których pasły się tysiący pięknego bydła. Rola piękna i żyzna, lecz z łona tej roli wydobywała się straszna plaga na te bujne okolice:—byłato szarańcza. Całe łany usiane były ciemnożółtą massą tego owadu. Jeszcze nie odrosły jej dostatecznie skrzydła, nie mogła odlecieć od ziemi: skakała lub pełzała, przełażąc jedna przez drugą. Piękny czarnoziem tej okolicy na przestrzeni kilku wiorst kwadratowych, zamienił się w ciemno-gliniasty obszar ruchomy, i szmer jakiś wydawał. Tak nie w jednem tu miejscu wylęga się ten straszliwy owad z jaj zostawionych przez przeszłoroczną szarańczę, przechowanych w łonie tej płodnej ziemi, która aniby się domyśliła, gdyby myśleć mogła, co za klęskę wypielęgnowała dla własnych płodów, dla swych wypieszczonych dzieci. Za dni kilka tłumy tej szarańczy, wyniszczywszy zieleniejące zboże, po którem pełzają, wzbiją się chmurą, przelatując z pola na pole, i wyniszczą dokoła wszelką roślinność. Póżniej w dalszej naszej podróży, przez kilka godzin przedzieraliśmy się przez chmury tego owadu, zaciemniajacego jasność słońca i szumiącego w powietrzu, które napełniały smrodliwym jakimś wyziewem. Massa owadu czasem na ćwierć łokcia pokrywała ziemię, wieszała się po gałązkach drzew, obsiadała strzechy, stogi i wszelką roślinność niszczyła. Zdala osobliwie wprawia w zadziwienie każdego nieświadomego, zbliżanie się szarańczy. Zda się mgła ogromna szaro-żółtego koloru przesuwa się ponad ziemią, zniżając się ku niej, to znów się podnosząc. W fortecach kaukaskich i stannicach, za pojawieniem się tej plagi, wartownicy dają znak trwogi, jak na widok rzeczywistego nieprzyjaciela. Wybiega wojsko i artylerya, biją

alarm w bębny, dają ognia z armat i broni ręcznej i krzyczą głośno hurra! Przestraszona szarańcza zrywa się i leci dalej. Zbrojna siła ściga ją ciągle, aż póki nie zapędzi tego drobnego, lecz strasznego nieprzyjaciela na lasy i góry, lub w jaki wąwóz niedostępny, będący naturalną warownią górali. Jednego razu dwie godziny ciągnęła chmara tego owadu około fortecy Wozdwiżyńskiej; a cała siła zbrojna tej fortecy stojąc nad Argunem dawała ognia z dział i broni, bijąc to na alarm, to do szturmu, aż całą tę chmurę udało się wypędzić do strasznego wąwozu Arguńskiego, tego wąwozu tajemniczego, na który tylko zdala dotąd patrzyliśmy z powodu jego niedostępności.

Lecz w spokojnych wioskach przed-kaukazkich, gdzie nie ma wojska ani artyleryi, nie masz środków przeciw tej klęsce. Lud wiejski z założonemi rękoma patrzy, jak znika w drobnych ząbkach całoroczna jego praca i obraca się w brzydki fetor oczekiwana jego nadzieja bujnego żniwa.

Mimo to zamożność jest wielka tutejszego rolnika. Niczem prawie strata zrządzona przez szarańczę, w porównaniu z tem, co mu pozostaje na niezmierzonych polach, których tu każdy uprawia tyle, ile mu się podoba, na tych łąkach, nie mających żadnych granicznych kopców.

Wioska, do której nareszcie zbliżaliśmy się po całodziennym nużącym marszu, Peregradnaja, ciągnęła się to po równi, to po nad strumieniem, na przestrzeni prawie milowej. Wielka obfitość kamienia piaskowca, z którego tu nawet włościańskie domki budowane, czyste i wesołe, naprzód nas uderzyła. Przy domkach gdzieniegdzie były ogródki na sposób ukraiński, co zawsze odznacza lepsze zagospodarowanie, i jakąś wyższość umysłową. Rozstawiono nas po kwaterach, i gospodarze, jak we wsi poprzedniej, nie skąpili swego skromnego posiłku, który po długiej drodze zawsze nam doskonale smakował. Lud wszędzie gospodarny, stanowią najczęściej przesiedleni z głębi Rossyi mieszkańcy. Wyrob płótna jest jedynym ich przemysłem; wielką ilość jego widzieliśmy rozesłaną dla bielenia nad rzeczką. Cały dzien letni hoże dziewoje po kolei nurzają półsetki jego w wodzie, a wieczorem zgromadzają się, tańcząc i skacząc z parobczakami po zielonych murawach. Ciekawy byłem przysłuchać się ich piosnkom, wszcząć pogadankę z parobczakami; lecz niebardzo żołnierzowi zbliżyć się do siebie pozwolą. — Gdy oni się bawią, to jemu zasię.

Na drugi dzień mieliśmy tam dniówkę. Powydobywaliśmy z tłumoczków nasze zwykłe zatrudnienia podróżne: książki, ołówki, farby, poprzenosiliśmy się z tem wszystkiem do ogródków poza domami. Rozłożyliśmy się w cieniu wiśni. Lecz ku południowi taki zaczął się upał, że każdy powiew wiatru wcale nie ochładzał, lecz owszem zdał się palącym płomieniem, co oddech prawie zabijał i ciało w zupełną wprawiał niemoc. Umysł również jak ciało zupełnie utracił działalność. Nieco później, nad wieczorem, czuliśmy potrzebę jakiegoś pokrzepienia. W drodze herbata jest najposilniejszym napojem. Mieliśmy jej zapas równie jak cukru, lecz u żadnego z gospodarzy samowaru nie było. Poradzono nam udać się do popadi, wdowy, która, jak nas zapewniano, nie odmówi nam swej przysługi. Ukazano nam jej mieszkanie. Przeto ogarnąwszy się cokolwiek, udaliśmy się do niej wszyscy czterej. Lecz dom jej, stojący przy placu, okna dokoła miał pozamykane; drzwi tylko cokolwiek były odchylone. Wstępujemy do sieni, ale nigdzie ani żywej duszy. Nareszcie w sieniach dał się słyszeć jakiś głos dość mile brzmiący, lecz przytłumiony, jakby z innego świata dolatujący. Rozpatrując się dokoła, postrzegliśmy że głos dochodził z ciemnej piwnicy, czy lochu, z pod wieka przykrywającego jego wejście. Wydawało go jakieś miłe stworzenie z figlarnemi oczkami, błyszczącemi w cieniu. Zbliżamy się do otworu piwnicy, zapytując o gospodynią domu. Piękna twarzyczka znikła; inna znów na jej miejscu wyjrzała, z zadziwieniem przypatrując się nam. Nareszcie kilka odrazu coraz doroślejszych zaświeciło z cieniu, uchylając coraz wyżej wieko. Jeden z nas pragnąc jakby z zaklęcia uwolnić te piękności z lochu, chwycił silną dłonią i odwalił wieko, ciągle przygniatające te niebożątka. W tem z samego spodu piwnicy ciemnej, gdzie widać szukała chłodu podczas okropnego upału, wychyliła się naprzód dość poważna matrona, nie młoda już, w zupełnie letniem ubraniu, wydostając się na światło. Za nią jak stado królików wyroiło się pięcioro dziewczątek różnego wieku, począwszy od ledwie rozkwitającego kwiatu latek. Wszystkie w bieli, z oczami błękitnemi, z ciemnemi warkoczami włosów. My stojąc nad otworem, kolejno jak która z niego występowała, kłanialiśmy się, uniewinniając się za naszą śmiałość, i wynurzając powody naszego najścia. Uprzejma gospodyni natychmiast starszym z córek wydała polecenie. Otrząśnięto z kurzu samowar, dawno już, jak można było wnosić z zaniedbanej powierzchowności, nieużywany. Wnet zaszumiał, zasyczał. Oddaliśmy do rozporządzenia cukier i herbatę, i rychło całe grono, tak nasze podróżne, jako też domowe, siedziało na ławach, dmuchając w szklanki, i brzękając łyżeczkami, których dwie się przecie w domu znalazło.

(D. c. n.)

Potęga narodowa.

Lata dziecinne ludzkości całej przeszły już od dawna, ale i młodzieńcze przeminęły lata. Daleko już ten czas uroczy, w którym duch całej ludzkości w pierwszym rozwijał się pączku, czas pierwszych pojęć religijnych, pierwszych wiadomości, pierwszej poezyi, pierwszych badań w bogatej przyrody dziedzinie, pierwszych przygotowań do działań pożytecznych. Niemniej przemknął już i ów czas w którym rozwijała się dzielna siła duchowa do czynu, czas w którym zapał do ideału łączył się z najwyższą siłą cia-

ła, z najwyższem zdrowiem, z największą pięknością; jednem słowem, ów czas, w którym ludzkość bogata jeszcze była we wszelkie skarby wieku młodzieńczego. Stoi ona teraz na progu wieku męskiego, dojrzałego. Jesteśmy bogatsi nad przodków naszych, bogatsi nierównie, we wszelkie umiejętności, doświadczenia i ćwiczenia duchowe. Niezliczone mnóstwo błędów gdyby mgły ponikły z widnokręgu, ale o ileż jesteśmy ubożsi o wszystkie złudzenia. Uczucie i zapał młodzieńczy już nas nie ogrzewa więcej. Gdzie są ci ludzie, gdzie te ludy, które się parły wytrwale do wielkich ideów, żadnych nieszczędząc poświęceń. Czy jest dziś lud jaki, w którymby nowy powstał Chrystus, by cały świat przetworzyć, nowy Mahomet, któryby znalazł miliony ludzi wierzących w jego wyższe powołanie. Jeżeli są jeszcze szczególni ludzie i szczególne narody, zdolne wielką uczuć myśl, czyliż znajdzie się w nich wytrwałość i ta chęć poświęceń wzniosła, wypisana na wszystkich niemal kartach młodzieńczych ludzkości dziejów. Idea sama przez się już dziś ludzi nie poruszy i nie rozbudzi owych fal zapału, w niebo same bijących. W burzach dzisiejszych idea sama małą już zdolna odegrać rolę. Silniej daleko działają dziś pobudki i przyczyny często materialne, bez których żadna nie obejdzie się już stanowcza wynikłość czynu. Przodkowie nasi łatwiej odważali się na wszystko bo byli młodzi; dla nich jeno się pojawił na górze Chrystus, albo powiedzmy raczej, Syn Boży i wszyscy się zbiegli do stóp jego, by go uczcić, by mu wierzyć i być mu posłusznymi. My zaś, pokolenie dojrzałe, mniej ważymy a więcej rozważamy. Nasze chęci zwracają się mniej ku ideałom, a więcej zato ku realnej korzyści, ku samolubnemu użyciu. Nie rzeczywistość idealizować staramy się, ale ideał raczej chcemy na rzeczywistość zredukować. Jeżeli gonimy jeszcze kiedy za ideałami, to nie szukamy ich już po za obrębami życia rzeczywistego. A te nasze ideały, jakże już są zestarzałe, zgrzybiałe. Nie ideały twórczą siłą dobyte, ale wyszukane chyba ze zbutwiałych kart dziejowych. Zbieramy osypane, powiędłe już kłosy! mech wiośniany opadł już dawno, i nie wróci nigdy!

Wszakże wiek męzki ma swoje kwiaty; i pierś męzka może jeszcze stać się świątynią. Wyższe poznanie, większa umiejętność, uczucia więcej ludzkie, zamiłowanie w spokoju i kunsztach z niego wynikłych, mogą dziś jeszcze zastąpić niejako zagasły zapał młodzieńczy. Szał ideału zastąpił zapał do rzeczywistości, i ludzkość zajmując się nią dziś więcej, stroi ją daleko staranniej, i życie człowieka urządza wygodniej i korzystniej. Dzisiejsze te dażenia zgodne są zaiste z celami całej ludzkości, i ta przewaga korzyści materyalnych, które są bodźcem wszelkich działań ludzkich jest zupełnie naturalna. Zgadza się to z usposobieniem wieku męzkiego, i nic w sobie niema zdrożnego.

To ogólne wszystkich dążenie, by życie upiększyć i uprzyjemnić, stało się źródłem nieskończonych potrzeb, bo użycie i potrzeby idą zawsze w parze. Zarobkowanie stało się środkiem użycia, a przez to samo jest dziś głównym celem ludzkiej działalności. I właśnie dla tego industrya stanęła dziś na tak wysokim szczeblu, bo ona jest najbogatszym skarbem zarobkowania. Z tąd też pochodzi, że wszystkie żywioły industryi przyszły dziś do znaczenia i do uznania jakiego nie miały dawniej za wieków młodzieńczych, a przez to samo nareszcie wyszukanie i zpożytkowanie tych żywiołów, porusza nieskończoną massę ludzkich usiłowań. Wyrachowano naprzykład, że sadzenie bawełny i lnu, wydobywanie kopalń węglanych, i wyrabianie żelaza, zajmuje trzydziestą część całej ucywilizowanej ludności.

Kamienne węgle, ów skarb, ledwie znany dawniej, i na który nieuważano prawie, stały się w połączeniu z żelazem, nie tylko głównym przedmiotem zarobkowania, ale zarazem i podstawą tych wszystkich urządzeń, na których się opiera rozwój życia całej ludzkości w teraźniejszości i w przyszłości. Możnaby zaiste powiedzieć, że cywilizacya wszystkiemi swemi gałęźmi dotyka o rudy żelazne i kopalnie węglane. To pewna, że one dzisiaj najwięcej ważą w oszacowaniu bogactwa wszystkich narodów.

Anglija mianowicie, czyliż nie swoim kopalniom węgli kamiennych zawdzięcza najwięcej ten olbrzymi rozwój industryi, z czego znowu pochodzi jej bogactwo, a przez to samo i ogromne stanowisko polityczne. Bez tych jej węglów, wszystkie wynalazki takiego Watt, Boulton, Urkwright, Stefensona, byłyby bez żadnej korzyści dla Anglii; nie mieli by siły, życia, ruchu. Angielska industrya przyszła do tego olbrzymiego, światem całym trzęsącego wzrostu wtenczas dopiero, gdy sie nauczono oceniać ten niezmierny skarb kopalni węglanych, i gdy równocześnie rozsądne prawodawstwo wszystkie kopalnie uwolniło od owych więzów feudalnych, któremi skrępowane są dotąd jeszcze po większej części w innych krajach; gdy nareszcie prawo dobywania skarbów podziemnych stało się własnością osobistą do własności ziemskiej należącą i wolnem od wszelkiej rządowej kontroli i opieki.

To wyrzeczenie się rządowych i tak niepożytecznych przywilejów, dokazało tych cudów, jakie podziwiamy w górnictwie angielskiem, i jakie się pojawią wszędzie tam gdzie będą naśladować Anglią. Dzisiaj wszystkie te okollce w Anglii gdzie się znajdują pokłady węglane, stały się ogniskami industryi, bo jej pierwszym i koniecznym warunkiem są węgle. Manchester, Sheffield, Birmingham, Leeds, Glasgow, Boulton, Newcastle ze wszystkiemi swemi fabrykami, byłyby niczem, gdyby nie miały w bliskości kopalni węglanych. I zdaje się, że dosyć wymienić te nazwiska, aby zrozumieć ten nieograniczony udział, jaki węgle mają w handlowej i industryjnej wielkości Albionu. (D. c. n.)

Galerya wodzów.

II. Mussa-Basza.

Bohater sylistryjski miał lat 44, gdy granat życie mu odebrał. Wiele zacnych przymiotów łączył w sobie, dla których wszyscy mieli szacunek dla niego. Słusznego wzrostu, pięknej twarzy i silnej budowy ciała, był wyrazem nie tureckiego lecz kaukazkiego typu. Wszyscy znający go chwalili uprzejmość jego w obejściu, jego dobroć serca i szczerą pobożność, niepolegającą na pełnieniu obrządków, lecz na cnotach. Przytem posiadał niczem niezachwianą osobistą odwagę; był bowiem przekonania, że bez dopustu bożego nic mu stać się nie może, że godzinę jego śmierci Bóg naprzód oznaczył, i że to będzie chwila najsposobniejsza dla jego zbawienia dusznego. Wojskowe nauki pobierał w francuskiej szkole wojennej w Metz; poczem wstąpił do artyleryi. Z pułkownikiem Kuczkowskim (Muchlis-Baszą) i majorem Malinowskim, Polakami, którzy dawniej w pruskiem służyli wojsku, przyczynił się Mussa Basza bardzo wiele do zreorganizowania tej broni, bo najczynniej usiłowania tych instruktorów wspierał. Zasługi jego wkrótce wynagrodzono. Został jenerałem artyleryi a w r. 1845 drugim z rzędu baszą w radzie wojennej w Tophanie.

Zdolniejszemu żołnierzowi nie mógł sułtan powierzyć obrony Sylistryi. Wszystko co on zrobił lub przedsięwiął dowodzi jego wielkich i doświadczonych zdolności wojennych, głębszego zastanawiania się, i nadzwyczajnej odwagi i waleczności. Żołnierzy swych umiał takim zapałem natchnąć, iż z każdego zrobił bohatera, a obronę uorganizował jak można było najlepiej. Kobiety, dzieci i starców wydalił z miasta, a z pozostałych mężczyzn utworzył gwardyę narodową, która straż wałów odbywać musiała ilekroć on z załogą wycieczkę robił na nieprzyjaciela.

Sylistrya nie jest fortecą, podług dzisiejszego stanowiska sztuki zbudowaną. Jednakowo Kuczkowski i Malinowski w ostatnich latach wszystko uczynili, aby tę twierdzę mocniej obwarować. Na poblizkich wzgórzach wzniesiono wysunięte naprzód warownie mniejsze, a blokauzami i kaponierami otoczono w koło fortecę główną. I nieświadomy rzeczy wojennych łatwo to pojmie, iż warownie mające w okręgu 2 mil blisko, bardzo licznej wymagają załogi. Piętnaście tysięcy żołnierza, które miał Mussa-Bascha pod swemi rozkazami, musiało odbywać służbę bardzo trudną, męczącą, jedynie przy straży wałów tak rozległą.

Cóż dopiero rzec o codziennych prawie wycieczkach, w których nie utarczki ale formalne bitwy staczał. Dwa miesiące bronił się Mussa Basza od nawału głównej rossyjskiej armii, dowodzonej przez najsławniejszych jenerałów rossyjskich, opatrzonej w doborną artyleryą, w bardzo liczną flotylę wojenną, i zadał jej bardzo dotkliwe klęski. Z początku myślał jenerał Szilder, iż niepotrzeba nawet od lądu oblegać fortecy, iż dosyć sięgnąć jest przez Dunaj po fortecę, dosyć zaatakować ją ze statków i wysp. Wówczas Mussa Basza prawie nieodstrzeliwał się, lecz wojska swego używał do przeszkodzenia przeprawy przez Dunaj pod Kalaraszem, i wstrzymywania pochodu Lüdersa z Dobruczy ku Sylistryi. A gdy po wielkich stratach Rossyanie sforsowali przeprawę przez Dunaj i pochód od Dobruczy, i podminowawszy Sylistryę zamierzali główne mury warowni w powietrze wysadzić, a potem kolumnami dziesięcio-tysiącznemi, poświęconemi na śmierć, szturmem je wziąć, z żelazną wytrwałością przełamał wszystkie najzacieklejsze usiłowania Rossyan.

Gdy żelazo okazało się bezskuteczne, chciano użyć złota. Ubogiemu dowódzcy ofiarowano za poddanie się kilka milionów piastrów, lecz Mussa Basza krótko odrzucił propozycye z pogardą. Mistrz w podobnych negocyacyach, książę Paszkiewicz nic nie wskórał. Dzień 21. 25. i 31go maja będą wiecznie pamiętne w historyi wojennej Turcyi, ale najpamiętniejszy będzie pomiędzy niemi dzień bohaterskiej śmierci Mussa Baszy. Dnia 2. czerwca turecka kontrmina przebiła galeryę miny rossyjskiej, i zasypała rossyjską kolumnę, idącą do szturmu. Po trzykroć wściekłe szturmy w trzech kolumnach, każda po 10,000 ludzi, przypuszczali Rossyanie, po trzykroć z największą stratą a raz nawet już z fortecy wyrzuceni zostali. Po odparciu szturmów Mussa Basza za cofającymi się zrobił wycieczkę i zniszczył wszystkie ich roboty około sypania szańców i przekopów. Właśnie gdy wrócił do fortecy i w namiocie zabierał się do złożenia podziękowania Najwyższemu za świetne zwycięztwo, padł granat i zranił go ciężko. Kląkł jeszcze i wyrzekł: «Allah! w twojem ręku wszystko! Ocaliłeś dotąd fortecę. Niedaj wiernemu ludowi zaginąć.» W kilka minut potem oddał ducha Bogu.

Piękna to jest śmierć, śmierć za ojczyznę, z tem przekonaniem, iż wszelkim powinnościom uczyniło się zadość, śmierć po odniesionem świetnem zwycięztwie!

Mussa Basza, gubernator Ejalatu, umarł w ubóstwie. Gdyby sułtan pozostałej wdowie i sześciorgu dzieciom nie wyznaczył był pensyi, nie mieliby żyć z czego.

Rozmaitość.

* Gazeta Lwowska wtorkowa donosi, iż Cesarz Jego Mość raczył właścicielom dóbr w Galicyi, w księstwie krakowskim i na Bukowinie przyzwolić wypłaty na rachunek rent indemnizacyi należących się od czasu zniesienia ciężarów urbarialnych, w dziesięciokrotnej sumie zaliczki urbaryalnej w obligacyach indemnizacyjnych. Z jakim pospiechem uchwała ta zapadła ogłoszona została, widać ztąd iż 16. to jest w niedzielę Cesarz Jagomość powziął postanowienie, w poniedziałek dnia 17. ministeryum wydało uchwałę a telegrafowaną do Lwowa Gazeta Lwowska z dnia 18. już ogłosiła. W braku kapitałów nie wszystka szlachta galicyjska mogła wziąć udział w rozpisanej pożyczce. Teraz wszystkim podane są środki do zrealizowania swych chęci. Pożyczka ta zaciągana jest w podwojnym celu, przeciwko dwom nieprzyjaciołom państwa; przeciw zewnętrznemu nieprzyja-

cielowi i przeciw wewnętrznemu, t. j. brakowi brzęczącej monety. Czem wojna coraz więcej i widoczniej się zbliża, tem więcej spada agio śrebra i złota. Teraz i pożyczka realizująca się wpływać poczyna na spadanie ceny metalów. Pierwsze dowodzi iż w całem państwie jedno jest tylko przekonanie, co do kierunku wojny, i że to przekonanie zgodne jest z zamiarami rządu. Drugie wskazuje, iż całe państwo to przekonanie i czynnie popierać pragnie.

Co do przyzwolonej zaliczki dziesięcioletniej, ta wyniesie na Galicyą przeszło 12 milionów złr. m. k. Udzielona zaś ma być w jak najkrótszym czasie, to jest natychmiast po konfekcyi obligacyj indemnizacyjnych, czyli w dwóch lub najdalej w trzech miesiącach. Najważniejsza dla obywateli tutejszych jest, iż do tych obligacyj indemnizacyjnych wierzyciele nie mają prawa żadnego, cała więc pertraktacya sądowa odpada. Tylko tam gdzie renty od kapitału indemnizacyjnego należą do massy sukcessyjnej w tym czasie powstałej, tam tylko wydanie natychmiastowe wstrzymane zostanie.

Wpłynieniem do kraju 12 milionów złr. m. k. ta stagnacya pieniężna trwającą od lat kilku, przecie raz przerwana zostanie. Nawet przeznaczając tę część indemnizacyi na pożyczkę rozpisaną, pieniądze te w kraju dłuższy czas zostaną i za kapitał obrotowy użyte być będą mogły; albowiem pożyczka rozłożona jest na cztery czy pięć lat.

Obligacye te tak bank jak i kassy publiczne obowiązane będą przyjmować w zastaw za banknoty, podobno w dwóch trzecich częściach wartości i po 4%. Przez to kurs ich będzie zabespieczony od nagłego spadku, który z powodu pojawienia się większej massy tych papierów na targowicy pieniężnej powstać może. Również życzyćby sobie należało, aby podobne prawo przysłużało i listom zastawnym, by i one równie jak obligacye indemnizacyjne w zastaw brane być mogły. Już nawet z powodu pożyczki samej nastąpić by to powinno, bo wielu z posiadających listy, chcąc przystąpić do pożyczki, musiałoby listy sprzedać; takowe zaś z powodu większej liczby jednoczesnej sprzedaży spaśćby znacznie musiały, co znów zniewalałoby sprzedających albo dla uniknienia straty z małą jedynie sumą do pożyczki przystąpić, albo zupełnie jej zaniechać.

* Dziennik literacki Nr. 27. zawiera: 1) O wpływie poetów polskich na rossyjskich. 2) Bojar Orsza, poemat Lermontowa, przełożył G. C. 3) Z konnotaty familijno historycznej Wierzbowskiego (ciąg dalszy.) 4) Wincenty Kruszewski, organizator wojsk egipskich (ciąg dalszy.) 5) Krytyka Estetyki Libelta (ciąg dalszy.) 6) Literatura obca: a) Geschichte Schlesiens von Stenzel 1. Theil 1854. b.) Urkundenbuch des Fürstenthums Rügen. 7) Doniesienia literackie.

Znaczenie poprzedniej szarady: **Krokodyle.**

Szarady.

1. Pierwsze z czwartem niegodziwe,
Drugie z trzeciem, obrzydliwe,
Wszystko razem jest pieczyste,
I smakowne i soczyste.

2. Dwie pierwsze nie przedawaj nie zrobiwszy trzecie,
Wszystko miasto na Wołyniu, dosyć znane przecie.

3. Pierwsze z trzeciem, konstytucya wniosła nam do kraju,
Drugie z trzecim zmęczony, często ma w zwyczaju,
Wszystko razem przyjemnem jest dla wszystkich ludzi,
I wprawdzie czasem zmęczy, lecz nigdy nie znudzi.

4. Czytaj tak, lepsze jak banknoty,
Czytaj wspak, rób niemi młoty.

5. Pierwszym po drugim, do trzeciego dojrzysz,
Gdy nie na adres lecz na pieczęć spojrzysz,
Pierwszym zaś z trzecim jesteś **ty** co czytasz,
Ja jestem wszystkiem, jeśli oto pytasz!

Przyjechali od dnia 17. do 18. lipca do Lwowa:

PP. Solecki Rafał, z Lubienia. Czermak Edward, z Bochni. Antoniewicz Mikołaj ze Stryja. Fredro Henryk, hr. ze Stryja. Bal Franciszek, z Tuligłów. Gołuchowski Stanisław, hr. ze Skały. Błoński Grzegórz, z Uhnowa.

PP. Bobowski Tadeusz, z Lubienia. Chrzanowski Ignacy z Lubienia. Poten Fryderyk, z Łachodowa. Wojnarowski Antoni, ze Stryja.

Wyjechali od dnia 17. do 18. lipca ze Lwowa:

PP. Miączyński Maciej, hr. do Jarosławia. Niezabitowski Włodzimierz, do Koropusza. Reinhardt Aloizy, do Czerniowic.

PP. Zatorski Tadeusz, do Jabłonówki. Karasiński Antoni, do Chlebowic. Serwatowski Jan, do Tarnopola. Pruszyński Józef, do Pomorzan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 18. b. m. o 2 g. popołud.

Amszterdam.	18.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$127\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	126.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$148\frac{3}{8}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$126\frac{3}{4}$.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	28.
Genua.	—.	Pożyczka 5% $84\frac{3}{8}$. $4\frac{1}{2}$	75.
Hamburg za 100 tal. banco.	$94\frac{1}{4}$.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	1251.
Liwurno.	—.	Kolej północna	1785.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 20.	Obl. ind. . . . . 5%.	—

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	6	kr.	—	złr.	6	kr.	4
Dukat cesarski	"	6	"	4	"	6	"	8
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	"	30	"	10	"	32.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	"	—	"	2	"	1.
Talar pruski	"	1	"	54	"	1	"	58
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	"	28	"	1	"	30.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	"	92	"	50	"	93	"	10.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**